Nr. 1. Kraków, w styczniu 1903 r. Rok IV.

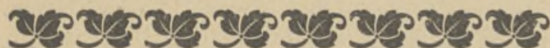
PRZODOWNICA

Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.



A dajże wam!...

A dajże wam... Dobry Boże!
Przy tym Nowym Roku,
Czego trzeba, zdrowia, chleba,
Szczęścia w każdym kroku...
I słoneczka na tę wiosnę,
Co przyjdzie do wioski...
I wytrwania w cichej pracy,
Gdy przygniotą troski.
I pogody na te żniwa,
Co ozłocą pola
I nadziei w lepszą przyszłość,
Choć dziś czarna dola...

A dajże wam... Dobry Boże!
W usta złote słowa,
Aby od nich w siłę rosła
Dziatwa nasza zdrowa,
By się każde wychowało
Ojczyźnie na chlubę
I przetrwało w walce z wrogiem
Twardą losu próbę,
Byście takich wychowali,
Co bronić umieją...
I przy kośbie, choć gorąco
Nie prędko potnieją...

A dajże wam... Dobry Boże!
W sercach miłość wielką,
By się strugą lała w życiu
Nie drobną kropelką...
Byście wszystkich nią zleczyli
Od waśni, od gniewu...
Iżby przyszedł roczek zgody
Braterskiego siewu...
Czego nie chcą wrogi Polski,
To miłość nam poda,
Bo gdzie zgoda i gdzie jedność,
Tam szczęście, swoboda!

A dajże wam... Dobry Boże!
Taką jasność ducha,
Aby dzionek zeszedł wielki,
Zanikła noc głucha;
Byście prawdę zrozumieli
I wroga poznali...
Byście przed nim wrota swoje
Dobrze zamykali,
Niech kołace i niech stoi

Przed chatą u proga...
Jemu inna, a wam inna
Życia tego droga;
Niechże roczek ten szczęśliwy
Da wam czego trzeba,
I dla serca i dla duszy,
Dla ziemi i nieba.

Jadwiga z Łobzowa.

W dzień Nowego Roku.

Zimno było i ciemno w chatce biednego Sybiraka, bo z cienkich belek, niewprawną ręką zbudowana chata nie była dostateczną ochroną od okropnych syberyjskich mrozów. Ściany były mchem utkane, ale pomimo tego mróz i wiatr wszystkiemi szczelinami wkradał się do wnętrza chaty, a łącząc się z cokolwiek ogrzanem powietrzem, jakie było w izdebce, osiadał na ścianach grubą warstwą szronu.

W małym, z gliny i kamieni ulepionym piecyku palił się słabo ogień, który ogrzewał i oświetlał chatkę.

W bliskości pieca, na niskim tapczanie siedział mężczyzna, przedwcześnie postarzały, siwy, chudy, pochylony od ciężkiej pracy; płeć miał ogorzałą od wiatrów i mrozów. Grzbiet jego okrywał kożuch stary, połatany, wyszarzały, na nogach miał sandały ze słomy uplecione. Oparł łokcie na kolanach, twarz schował w dłonie i tak siedział bez ruchu.

Obok niego siedziała żona, blada, wynędzniała, również jak mąż w stary kożuch ubrana, głowę obwiniętą miała jakąś szmatą, która dawniej chustką była, a z pod której wydobywały się kosmyki siwych włosów, tylko jasno-niebieskie oczy zdradzały, że kobieta nie żyje jeszcze zbyt długo, ale cierpienia moralne zrobiły z niej przedwczesną staruszkę.

Na ziemi, przed piecem siedziała młoda dziewczyna, blada i chuda jak jej rodzice, ale czarne jej oczy błyszczały zdrowiem i młodością. Ona jedna najmniej cierpiała, bo przyszła na świat w tej syberyjskiej chatce, nie znała swej prawdziwej ojczyzzny, nie znała nic, oprócz tej wioski, w której się urodziła, i dobrze jej było przy ukochanych rodzicach.

Obok niej na ziemi rozciągnięta była ogromna wilczyca, która położyła głowę na kolanach swej pani i patrzyła jej w oczy z wielką miłością. Przed paru laty Jadwinia, chodząc po lesie, znalazła pod drzewem śpiące zwierzątko, a myśląc że to piesek, przyniosła do domu. Dopiero w domu powiedział jej ojciec, że to młody wilczek i radził odnieść do lasu, ale Jadwiga nie chciała, pieszcząc go i hodując jak psiaka. Gniewała się i matka, mówiąc, że sami nie mają co jeść a wilka karmić muszą, ale dziewczynka się uparła mówiąc, że wilczyca jak urośnie, to jeszcze im będzie znosić zwierzynę; i tak się stało.

Poczciwa wilczyca wychodziła co dzień do lasu i często przynosiła to zająca, którego smacznie zjadali, to lisa, z którego piękne futro sprzedawali. I tak ta wierna wilczyca stała się prawie dobrodziejką syberyjskiej rodziny.

Siedząc tedy na udeptanej ziemi przed piecem, Jadwiga smutnie wpatrywała się w bladą twarz ojca i z przerażeniem spostrzegła, że szczelinami palców, którymi twarz zasłaniał, łzy przeciekają.

Zerwała się, a uklęknąwszy przed ojcem, pytała troskliwie, czego płacze?

Ojciec pohamował wzruszenie i odpowiedział:

— Dzisiaj jest dzień Nowego Roku, tam w naszej drogiej Ojczyźnie zbierają się razem rodziny, życząc sobie zdrowia i powodzenia, potem śpiewają wesołe kolendy i czczą Nowonarodzonego Chrystusa. A my tu zagrzebani w tych syberyjskich śniegach, oddaleni o kilka tysięcy wiorst od naszej ukochanej ziemi, której już pewno nigdy nie zobaczę.

— O! nie mów tak tatusiu drogi, da Pan Bóg, że skończy się twoja kara i powrócimy do naszej Ojczyzny, którą, choć nie znam, tak bardzo kocham. Ot lepiej opowiedz mi, za co to wygnali cię z kraju tak daleko.

Ojciec otarł łzy, a objąwszy jedną ręką żonę, która się do jego ramienia przytuliła, drugą ręką gładząc bujne włosy Jadwigi, tak opowiadał:

— Kiedy w 1863 roku naród polski, nie mogąc wytrzymać prześladowania wrogów, chwycił za broń, ażeby albo wywalczyć sobie wolność, albo zginąć, a nie dać się dalej ciemiężyć, ja byłem wtenczas w szkołach w Lublinie, bo rodzice moi mieli małą posiadłość w okolicy Łęczny, o cztery mile od Lublina. Stałem na stancyi u p. Szumskiej, gdzie nas kilku było z 7 i 8 klasy. Gdyśmy się dowiedzieli, że powstanie wybuchło, postanowiliśmy połączyć się z innymi, i po cichu zaczęliśmy robić przygotowania.

Ja miałem parę rubli zaoszczędzonych, więc kupiłem jakiś pistolet, trochę kul i prochu, żeby choć jaką taką palną broń mieć przy sobie. Pani Szumska widocznie musiała coś zauważyć i podsłuchać nas, bo zaczęła przedstawiać, prosić, zaklinać, żebyśmy zamiaru tego zaniechali, nareszcie wzięła się na sposób, i zawsze na noc zamykała nam płaszcze. Ale krew polskiej młodzieży jest gorąca i gdyśmy się dowiedzieli, że jakiś oddział powstańców jest w pobliżu, bez płaszczy, w samych tylko szkolnych mundurkach o dwie mile dostaliśmy się szczęśliwie do obozu Ćwieka.

Młody wódz i koledzy przyjęli nas serdecznie i jakiemiś starymi płaszczami obdarowali. Wesołe życie było w obozie, szczególniej, gdy po jakiej małej potyczce obchodziliśmy zwycięstwo.

Wkrótce dowiedziałem się, że mego ojca aresztowano, który także, jak każdy prawy Polak, należał do spisku. Matka pisała do mnie prosząc, żebym powrócił do domu, że za młody jestem do znoszenia trudów wojennych, i że nie ma komu doglądać gospodarstwa, bo młodszy brat słabowity. Nie usłuchałem jej i zostałem w obozie.

Niedługo dowiedziałem się, że mój biedny ojciec zginął pod knutami*) Moskali, którzy męczyli go, chcąc coś z niego wydobyć. Zginął mężnie biedny męczennik, a nie zdradził nikogo. Po jego śmierci z większą jeszcze zaciętością rzucałem się na wrogów, chcąc pomścić zgon ojca i myślę, żem ich ze dwudziestu ubił, nim wpadłem w ich ręce. Rannego zabrali mnie z pola bitwy, a wyleczywszy z ran, wysłali na Sybir, a że w drodze ciągleśmy się buntowali, więc skazali mnie na 20 lat na posilenie. Po kilku latach i tu zaczęliśmy się buntować, z czego tylko tyle skorzystałem, że już do odsiedzianych kilku lat dodali mi nowych 20 tak, że już teraz sam nie wiem, ile jeszcze mam odsiadywać.

Głód u nas nieraz był tak wielki, że szczury i myszy tośmy jako specyał jedli. Koledzy moi nawet karakony po ścianach łażące zbierali i połykali, żeby tem głód zaspokoić, alem ja wolał z głodu omdlewać, a tego paskustwa nie jadłem.

*) Knuty podobne jak nahajki albo harapy, kilkanaście rzemyków z grubego surowca obsadzone w rączkę, na końcu każdego rzemyka jest metalowy trójkącik zaostrzony tak, iż jedno uderzenie sprawia odrazu kilkanaście ran, a bijąc umiejętnie, kilkanaście kawałków ciała odrazu wyrywa.

Tutaj poznałem moją poczciwą Marychnę a twoją matkę, która przyjechała z wileńskiej gubernii wraz z rodzicami, skazanemi na 5 lat. Ci po odsiedzeniu kary powrócili do kraju, a moja Marychna, dzieląc los wygnańca, została ze mną, oddając mi swoje serce i rękę. Za jej to pieniądze i z jej pomocą postawiliśmy ten domek. Patrzeć nie mogłem, jak te maleńkie nóżki, które dawniej po miękkich dywanach stąpały, miesiły glinę, jak potem te śliczne rączki lepiły ściany. Wraz ze mną nosiła drzewo z lasu, pomagała mi we wszystkiej robocie, była mi zachętą do wytrwałości.

Tak opowiadał biedny Sybirak, a wtem wilczyca podniosła łeb do góry, nasłuchując.

— Ktoś idzie do nas — zawołała Jadwisia i podbiegła do maleńkiego okienka, odchuchała kawałek szyby, patrząc ciekawie. — Tatusiu, chołowa*) idzie do nas.

— Oho! będzie coś nowego — odpowiedział ojciec. — Zaświeć kaganek.

— Może nam stryj rubli przysłał — zagadnęła Jadwisia.

— Wątpię, on poczciwy co rok przysyła nam 100 rubli, choć tylko 50 do naszych rąk dochodzi. Sprzedał naszą posiadłość w Królestwie, bojąc się, żeby nam jej Moskale nie zabrali, a kupił mały domek w Krakowie, nauczył się przytem jakiegoś rzemiosła i w ten sposób dopomaga nam i żywi swoją rodzinę.

Zastukano do drzwi, Jadwisia poszła otworzyć i do izdebki wszedł Moskal, cały w kożuchy zawinięty, ledwo mu oczy było widać.

— Sława Bohu — przemówił przybyły ochrypłym głosem.

— Sława, na wiki wików — odpowiedziano.

— Co słychać, wesoło święta spędzacie?

— Nie bardzo, bo oprócz kawałka jęczmiennego placka nic w domu nie ma.

— A wódka jest? — pytał gość.

— Wódki nie mamy, ale wam zaraz zrobię gorącej herbaty — i Jadwiga zakrzątnęła się koło pieca.

— Z dobrą nowiną przychodzę do was, ale mi musicie dobrze za nią zapłacić.

— Kiedy nie mam czem płacić, choćby za najlepszą. Ale mówcie, co macie dla mnie?

— Wolność! — odpowiedział Moskal — odsiedzieliście już swoją karę, możecie wracać do kraju, oto wasze papiery.

Sybirak padł omdlały na tapczan, żona i córka skoczyły go ratować.

*) Chołowa znaczy tyle co wójt gminy.

— Tatusiu, tatusiu, przyjdź do siebie, pojedziemy do naszej drogiej Ojczyzny, słyszysz tatusiu! — wołała Jadwiga, całując ojca po rękach i twarzy.

Sybirak powoli przychodził do przytomności, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście.

— Pojedziemy, ale za co? — szepnął z cicha — podróż taka daleka, dużo kosztuje, a my nic nie mamy.

— Sprzedacie wasz dom, ja sam dam wam za niego 50 rubli.

— Co wy mówicie Mikołaju Wasilewiczu, mnie sam materyał przeszło 200 rubli kosztował, a gdzie robota, a sprzęty domowe?

— Więcej nie dam — odpowiedział Moskal.

Wtem znów zapukano do drzwi i do izdebki wpadło kilka dziewcząt sybirskich, przyjaciółek Jadwigi. W całej osadzie dowiedzieli się już o wolności Sybiraka i przyszli mu winszować, a każda z dziewcząt przyniosła coś w darze. Jedna ryb wędzonych, druga suszonych owoców, trzecia osełkę masła.

Jadwiga nakryła stolik białą serwetą, położyła przyniesione dary, placek jęczmienny i jeden opłatek.

— A ty zkąd masz opłatek? — zawołał ojciec.

— To od tego księdza, co w zeszłym roku był u nas.

Sybirakowi jak gdyby 20 lat wieku ubyło, tak go radość zmieniła, wyprostował się, oczy błyszczały mu młodością.

— Cóż Mikołaju Wasilewiczu, kupicie dom?

— Kupię, ale nie dam więcej tylko 50 rubli.

— Tatu — przemówiła Katrynka, córka chołowy — mnie mówił Aleksy Iwanowicz, że się ze mną ożeni, to ten dom kup, tatu, dla mnie.

Katrynka wzięła Jadwigę za szyję, odprowadziła do kąta i tam wydobyła flaszeczkę z arakiem z kieszeni, dała ją Jadwidze, mówiąc:

— Wlej dużo araku do herbaty memu ojcu, to zaraz więcej da za wasz domek, on może zapłacić choćby 200 rubli, bo on ma dużo bomażek *).

Herbata z arakiem poskutkowała, bo chołowa coraz to większą sumę ofiarowywał, doszło już do 150 rubli, ale Katrynka zapewniała, że musi dać 200 rubli.

Rozochocony Sybirak zasiadł do uczty wraz z gośćmi i zaśpiewał kolendę noworoczną:

Dla naszej pociechy Bóg się nam narodził,
Z syberyjskich lodów dziś nas wyswobodził,
Więc zasiądźmy wkoło, śpiewajmy wesoło:
Hej kolenda, kolenda.

A gdy już na polskiej ziemi się znajdziemy,
I rodaków naszych dłonie uściśniemy,
Razem zaśpiewamy, pokłon Panu damy,
Hej kolenda, kolenda.

Kiedy już Ojczyznę z wrogów oczyścimy,
Tych, co nas katują, gdy się pozbędziemy,
Wtenczas głośno wszędzie, lud nasz śpiewać [będzie:
Hej kolenda, kolenda.

W. Ciechomska.

*) Bomażki, pieniądze rosyjskie.

Kolenda Kurpiów.

Scansliwe Betlejem, niasto Dazidowe *),
Ze się nam zjaziło odkupienie nowe:
Krystus się narodziuł, by nas wyswobodziuł
Od niewoli satońskiej **).

Nom się nie dostało scęścia takowego,
Byśwa w nasej puscy mieli zrodzonego
Jezusa Krystusa, choćby nosa dusa
Serdecnie go uccıła.

U nas w Ostrołackim na puscy starostwie
Nie byłbyś się rodził w takowym ubóstwie!
Mawa izbów wiele i ciepłe pościele
Byłbyś lezoł wygodnie.

Choć nam barci w losach, dzewa zabraniają
Uzdy i siokiery ciągle zabzierają,
Jednak byśwa byli choć w nocy zwozili
Suche drewka dla Ciebie.

Miałbyś i kopustę i buracki, Panie,
Tłustą zwieprzowinę zawsze na śniadanie;
Mlecko z jogiełkami, chlibek z kartoflami
Z miodem wódki flaseckę.

A na objad byśwa skrzecków naskworzyli
I gasy gryconej tłusto nakrosili,

*) U Kurpiów wymawiają »w« jak »z«.

**) Pisownię zachowujemy taką, aby uwydatnić wymowę tamtejszego ludu.

Zajónc kuropatwy, choć połów nie łatwy
Byłby Panie dla Ciebie.

Niałbyś pieluski z kortu cieniuchnego
Sukmonek do kolan z sukna puscańskiego;
Faworek niedrogi: kurpsiki na nogi
Byliśwa zżądzili.

A w Betlejem zydy śmierdzące psiajuchy
Tylko swym bachurom naposoli bzuchy
I chłodno i głodno w nicem nie wygodno
Tsymali Cię o Panie!

A ze się tak Panie spodobało Tobzie
Ześ cierpiał bziedę w maluchnej osobzie,
Przyjmij scere chanci i miej nas w pamianci
Tu na puscy i w niebzie.

---

† Ojciec Wacław.

Kto w Krakowie nie znał ojca Wacława. kto, raz zobaczywszy tę postać wysoką, spowitą w bronzowy habit kapucyński, z twarzą pogodną okraszoną łagodnym uśmiechem, nie zapamiętał jej już na zawsze; kto, zapoznawszy się z nim choćby chwilowo, przelotnie tylko, nie nabrał dlań głębokiego szacunku, poważania, jakiem nigdy nie darzy się pierwszego lepszego człowieka?...

Kto nie wie, kim był ojciec Wacław, niech pospieszy tylko do kościoła OO. Kapucynów: przed furtą klasztorną tłoczą się ubodzy, a wieść, że ojciec Wacław umarł, smutkiem okrywa ich twarze, bo ten ojciec Wacław był dla nich prawdziwym ojcem, opiekunem i doradcą, bo ten ojciec Wacław nie zdawkowem słowem politowania, ale czynem pomagał im w walce z losem i nędzą, a działał zawsze tak cicho, tak spokojnie i prosto, że, chociaż błogosławiono go i czczono za to, nie myślano jednak, aby spełniał coś więcej, niż tylko swój obowiązek!...

Kto nie wie, kim był ojciec Wacław, niech przypomni sobie, że od szeregu lat nie było w naszem mieście uroczystości narodowej, nie było prawie nabożeństwa, święcącego jakąś rocznicę naszej historyi, abyśmy nie widzieli na kazalnicy wysokiej postaci skromnego mnicha, z białą jak śnieg brodą, który głosił miłość Bożą, nawoływał do zgody i wspólnej pracy dla dobra Ojczyzny, a zamiast miotać gromy potępienia na grzeszną ludzkość, miał dla niej zawsze dobrotliwe, łagodne słowo, litość i współczucie...

Tym wyrozumiałym doradcą ludu, był właśnie zmarły obecnie ojciec Wacław...

A może jeszcze powie ktoś, że nie wie, kim był ojciec Wacław? Na to odpowiedzieć mu można, że był on człowiekiem wielkiej, mrówczej pracy, niestrudzonym pracownikiem na każdem polu. Na półkach księgarskich leżą stosy prac historycznych Edwarda z Sulgostowa (pod taką nazwą pisywał) — a z nich wszystkich przebija się ta sama cecha charakterystyczna, jaka znaczyła cały bieg jego żywota: miłość ku Bogu, miłość ku ludziom, prostota i sumienność!...

* * *

Na ścianach kościołów krakowskich pokazały się plakaty:

†

O. Wacław Nowakowski

z Zakonu OO. Kapucynów, Wikary,

przeżywszy lat 73, kapłaństwa lat 22, w zakonie 42, z tego kilkanaście lat na Syberyi po długich i dolegliwych cierpieniach, opatrzony Świętymi Sakramentami zasnął w Panu dnia 9 stycznia 1903 roku.

Nabożeństwo żałobne

rozpocznie się w poniedziałek dnia 12 stycznia o godzinie 8 rano, poczem nastąpi eksportacya zwłok na miejsce wiecznego spoczynku.

Konwent OO. Kapucynów zaprasza na ten smutny obrzęd WW. Duchowieństwo i pobożnych Wiernych.

Tyle o ojcu Wacławie powiedziały klasztorne skromne plakaty. My ze swojej strony dodamy jeszcze ogólny szkic życia tego zacnego kapłana.

Edward Nowakowski, który z habitem zakonnym przybrał imię Wacława, urodził się w Bobrówce na Ukrainie (dawne województwo czernichowskie) 19 lipca 1829, a więc na

parę lat przed wybuchem listopadowego powstania. Dzieciną małą był jeszcze, gdy rodzinna kraina tonęła w potokach krwi, gdy przed oczyma jego przewijały się barwne mundury polskich pułków i ponure stroje sług cara, gdy o uszy jego obijały się okrzyki kozactwa i cicha gorąca modlitwa matki, niesiona przed tron Boski za Ojczyznę...

Do szkół uczęszczał młody Nowakowski w Krzemieńcu. Zaraz po ich ukończeniu niezapomnieny Konstanty Swidziński zrobił go stróżem swych zbiorów bibliotecznych i archiwalnych w Sulgostowie. Swidziński umarł, zapisawszy swe zbiory Aleksandrowi Wielopolskiemu, któremu w listach i testamencie wyjaśnił, jak pragnie mieć zbiory utrzymane, na co przeznaczył dochód z dóbr swoich. Ale Wielopolski nie uszanował woli zmarłego i trzymając się litery testamentu, uważał się za właściciela dóbr i zbiorów, któremu wolno z nimi robić, co mu się podoba. Głośny proces, jaki z tego wynikł, zwrócił całą opinię przeciw Wielopolskiemu i był przyczyną nieufności społeczeństwa do tego człowieka samolubnego i despotycznego, kiedy danem mu było odegrać rolę polityczną. Kto wie, czy ten proces nie zaważył na szali losów narodowych — czy bez niego byłby Wielopolski tak osamotniony na swem stanowisku, czego znowu następstwem był rok 1863.

Nowakowski, stojący po stronie przeciwnej margrabiego, utracił swoje miejsce. Może odtąd, po poznaniu buty i egoizmu magnatów, wzmocniła się jego niechęć do panów może to było źródłem jego szczerych polskich przekonań demokratycznych.

Zetknąwszy się tak wcześnie z brzydotą ludzką, postanowił Nowakowski zostać sługą ołtarza, 11 czerwca r. 1860 przyoblekł habit zakonny w Lubartowie. Powstanie styczniowe zastało go w Lublinie klerykiem. W powstaniu tem brał czynny udział, a chociaż nie stanął z bronią w ręku naprzeciw nieprzyjaciela, choć jako kleryk nie mógł pełnić żadań kapelana jakiegoś oddziału, to jednak zasłużył się wielce, przyjmując na swe barki wykonanie całego szeregu tajnych misyj i zleceń, zwłaszcza w stosunku do oddziału, który działał w Lubelskiem pod wodzą brata jego Karola Nowakowskiego.

Nie długo jednak pozwolono mu służyć narodowej sprawie, bo niebawem w ręce Moskali wpadły wszystkie papiery i korespondencye, jawny dowód „niebłagonadiożności“ zmarłego.

Z za furty klasztornej powleczono ojca Wacława do turmy, a na wyrok nie kazano mu długo czekać; został po kilku przesłuchaniach skazany na śmierć i dzięki tylko wstawieniu się za nim hr. Zamojskiej zamieniono mu karę śmierci na zsyłkę do Irkucka*). Podczas pochodu na Sybir, spotkał się na etapie ze skazanym do ciężkich robót bratem swoim Karolem. Czując się od brata silniejszym, przekupił przyszły ojciec Wacław kapitana, prowadzącego oddział wygnańców i zamienił się z bratem. Karol poszedł „na posielenie“, a ojciec Wacław do kopalń w Usoli.

Dwanaście ciężkich lat spłynęło mu z dala od ziemi ojczystej, aż wreszcie aktem amnestyi dozwolono mu opuścić Irkuck, wzbraniając naturalnie zamieszkania w Warszawie, Wilnie i Kijowie...

Ojciec Wacław, korzystając z dozwolenia, przeniósł się do Odessy, a stąd przez Winnicę i Galicyę wyemigrował do Francyi, aby w Paryżu przywdziać znów mniszą sukienkę i przybyć do Krakowa.

W r. 1880 w mieście naszem, książę biskup krakowski, ks. Dunajewski, udzielił mu święceń kapłańskich i od tego czasu ojciec Wacław rozpoczął tu swą zbożną pracę w winnicy Pańskiej, jako spowiednik i kaznodzieja.

Powaga jego była tak wielką, że garnęli się do niego nawet ludzie innych przekonań politycznych.

Skromny, cichy, niegoniący za urzędami i godnościami zakonnemi, o ile nie trawił czasu na służbie Bożej, lub na uczynkach miłosiernych, poświęcał się literaturze kościelnej i historycznej. Z pod pióra jego wyszedł szereg dzieł takiej wartości, jak „Polska w r. 1794“, „Częstochowa w obrazach“, „Warszawa“, dzieło trzytomowe, które podpisał imieniem tow. syberyjskiej niedoli Bronisława Szwarcego i ostatnia praca „O cudownych obrazach w Polsce Przenajświętszej Matki Bożej“.

* * *

W t. zw. krużgankach loretańskich kościoła OO. Kapucynów, na skromnym niskim katafalku, przysłoniętym grubym kirem w prostej drewnianej trumnie, okolonej wieńcem sześciu świec, spoczywało ciało ojca Wacława...

Niema tu śladu światowej pychy i wystawności, niema wcale bogatych wieńców,

*) Na Syberyi.

zdobnych w drogie szarfy o złoconych napisach, niema zieloności...

W kącie kapliczki braciszek klasztorny szepce cicho pacierze i to wszystko — wszystko...

* * *

Jak ciche było życie ojca Wacława, taką była i śmierć jego.

Dnia 7 stycznia czuł, że jest z nim coraz gorzej, że śmierć wnet zapuka do jego celki, lecz pragnął jeszcze bodaj raz odprawić mszę św. i prosił jednego z zakonnych braci, aby w cichości przed ks. gwardyanem i prowincyałem przygotował mu potrzebny strój i aparaty tak, by przed siódmą rano mógł w kapliczce tuż obok swej celi odprawić mszę św. Ale niestety nie mógł tego dokonać, bo w nocy stan zdrowia pogorszył się znacznie. Wśród boleści i kurczy żołądkowych spędził zacny kapłan całą noc, otoczony pieczą ks. gwardyana i dwu braci.. O godzinie szóstej rano zaczęło się konanie. U łoża zmarłego zgromadził się cały konwent, a w kościele ks. prowincyał odprawił mszę św. za konającego.

O siódmej ojciec Wacław stracił przytomność; przestał jęczeć i uskarżać się na bóle, oddychał coraz ciszej, coraz wolniej...

Ojcowie Kapucyni wśród modłów prawie nie zauważyli tej chwili, w której wydał ostatnie tchnienie, tak cicho i spokojnie zasnął na wieki..

Kraków wiele stracił w ojcu Wacławie: ubodzy ojca i opiekuna, wierni kaznodzieję i spowiednika, a kapłana wielkich cnót i pobożności, klasztór zaś najskromniejszego, ale najpracowitszego członka konwentu...

Czy można ustrzedz się choroby?

(Ciąg dalszy).

Nie ma prawdopodobnie w pośród czytelniczek *Przodownicy* ani jednej, któraby o suchotach nie słyszała. Suchoty bowiem są chorobą ogromnie często spotykaną; nie ma wsi ani miasteczka, gdzieby co roku choć paru mieszkańców nie rozchorowało się na suchoty. Lekarze nazywają tę chorobę zazwyczaj gruźlicą, a nazywają tak dlatego, że u człowieka, którego choroba ta spotkała, znaleść można w pewnych częściach ciała gruzełki drobne, rodzaj pryszczyków, złożonych z żywych bakteryj, pewien rodzaj pleśni stanowiących. Kto dostał gruźlicę w płucach, u tego gruzełkami pokryte są płuca, kto ma gruźlicę gardła, u tego gruzełki pokrywają gardlane błony, niektórzy mają gruźlicę kiszek, inni gruźlicę kości lub stawów, a jeszcze inni gruźlicę mięśni, a nawet skóry. Słowem gruźlica jest to straszna choroba, która czepia się człowieka wszędzie, gdzie może, a skoro się raz uczepi, to rzadko kiedy opuści; męczy nieraz lat kilka, wyniszczy, wycieńczy, wysuszy, człowiek chudnie, słabnie w końcu z wycieńczenia czyli suchot umiera. W Polsce całej, a w Galicyi w szczególności gruźlica jest wprost plagą ludności. Szpitale Krakowa i Lwowa nie mogą pomieścić chorych gruźliczych i nie chcą ich nawet przyjmować. To też najczęściej chorują ci biedacy po domach, nic mając żadnej w swych cierpieniach ulgi, a nadto zarażając całe swe otoczenie.

Przed dwoma laty zjechali się w Krakowie lekarze na zjazd i bardzo pięknie i dużo radzili o zaraźliwości suchot, o koniecznej potrzebie założenia osobnych szpitali dla suchotników, o pouczaniu ludzi jak sobie przy suchotnikach postępować mają. Mówiono, pisano, radzono, a szpitali dla suchotników jak nie było, tak nie ma. Otwarto wprawdzie w Zakopanem taki szpital, zwany sanatoryum lub uzdrowisko, ale to jest uzdrowisko jedynie dla ludzi bogatych, biedacy do dziś dnia nie mają w razie nieszczęścia dokąd się udać.

Jest to naszem prawdziwem nieszczęściem, że na najpotrzebniejsze rzeczy nie mamy pieniędzy. brak nam pieniędzy na regulacyę rzek, robiących co roku niesłychane szkody w zasiewach, brak na szkoły, brak na szpitale. — Mamy je zato na wojsko w błyszczących mundurach paradujące, mamy na bogato opłacanych arię urzędników, przepisujących bez końca i potrzeby jedne i te same papiery, mamy na wódkę, piwo i rozpustę, mamy na karty i tytoń.

Wszyscy tu winni jednakowo: i rząd, który ogółowi powinien świecić przykładem. i ogół, który przy dzisiejszym stanie oświaty jużby i sam właściwszy mógł robić użytek z zarabianych pieniędzy a także i odpowiednie żądania do władz wystosowywać. Żyjemy w nędzy, brak nam najpierwotniejszych potrzeb życiowych, a nie możemy się zdobyć na żaden krok, by złemu zaradzić. Razby się należało otrząsnąć; tak żyli ojcowie nasi,

to i my tak będziemy, nie powinno nas powstrzymywać od zmian, od nowości. Nie wszystko bowiem co stare — dobre, a złe to, co nowe.

Praojcowie nasi nie znali ognia ani żelaza, a czy my dzisiaj bez tego obyć się potrafimy? To też powinniśmy się u władz właściwych domagać rzeczy do życia koniecznych. Na to mamy posłów — przez nich żądajmy szkół, żądajmy szpitali i uzdrowisk dla suchotników. Dopóki bowiem takich uzdrowisk nie będzie, na nic się nie zdadzą całe tomy przepisów o tem, czy się można suchot ustrzedz, albo czy się z nich można wyleczyć? To też i tu na tem miejscu podam kilka rad najważniejszych, ale powtarzam: dopóki nie będziemy mieli uzdrowisk, do którychbyśmy naszych suchotników na leczenie oddawać mogli, dopóty żadne rady wiele nie pomogą.

Bo widzicie z suchotami czyli gruźlicą, to bardzo ciężka sprawa. Gdy się już gdzie zagnieździ, to się jej pozbyć nie łatwo. Jest to bowiem choroba bardzo zaraźliwa. Żona od męża, dzieci od rodziców, słudzy od panów, uczniowie od nauczycieli zarażają się ustawicznie i dlatego tak dużo gruźlicy na świecie. A zarazę rozsiewa suchotnik ciągle naokoło siebie, a sieje ją wraz ze swoją odkaszliwaną flegmą. Plunie na podłogę w izbie, czy na polu, plwocina ta wyschnie i z pyłem wetchnięta w płuca zdrowego człowieka, zagnieździ się tam potajemnie, by powoli wytworzyć pierwszy, drugi, dziesiąty gruzełek, by wreszcie powalić z nóg i tego drugiego, dotąd zdrowego człowieka. A bawiące się w izbach na podłodze dzieci, ileż razy brudnemi rękami biorą do ust zabawki zwalane zarazkiem gruźlicznym, ileż razy zjadają zarażone tą drogą pokarmy. To też u małych dzieci gruźlica kiszek i przewodu pokarmowego spotyka się najczęściej.

To też jeżeli kto w rodzinie zachorował na suchoty, byłoby najlepiej oddać go z domu do jakiego szpitala. Że jednak nie zawsze to zrobić można, bo jak mówiłam, nie ma już po szpitalach ogólnych dla chorych gruźlicznych miejsca, trzeba o ile możności trzymać chorego w osobnej izbie nie razem ze zdrowymi. Gdy i tego zrobić nie można, trzeba pilnie przestrzegać, żeby chory nie pluł na podłogę, lecz do garnuszka lub szklanki, umyślnie na to przeznaczonej.

Plwocinę trzeba starannie i głęboko zakopywać. Trzeba chorego pouczyć, żeby przy kaszlu zasłaniał usta ręką lub chustką, bo śliną rozpryskującą się przy kaszlu, nieraz dalej niż o łokieć, również zarażać może. Bieliznę chorego, a szczególniej chustki do nosa i poszewki z poduszek prać trzeba osobno i po upraniu wygotować.

Nie pić i nie jeść z chorym z jednej miski lub garnka. Nie spać w jednem łóżku. Przy gruźlicy kości, stawów, mięśni lub skóry, tak samo co do zaraźliwości jak plwocina płucnego suchotnika, jest ropa czyli materya, z ran się wydobywająca.

To też szmaty i bandaże trzeba palić lub wygotowywać w wodzie. A ręce po każdym opatrywaniu rany trzeba zmyć bardzo czysto karbolem lub sublimatem. Że jednak o te apteczne środki jest zwykle trudno, to trzeba pilnować chociażby starannego wymycia kilka razy, raz poraz wodą z mydłem.

Przy starannem przestrzeganiu tych przepisów można się ustrzedz gruźlicy, chociaż jest to zawsze bardzo trudną rzeczą.

A co radzić choremu? Właściwie pouczanie takie nie należy ściśle do mnie. Ja mam podawać tylko, czy można ustrzedz się choroby. Że jednak przy gruźlicy nie ma leczenia, a wszystko to nawet, co lekarz poradzi, należy tylko do przepisów obchodzenia się z chorymi przez osoby doglądające — sądzę, że mogę wypowiedzieć i w tym kierunku kilka wskazówek.

Przedewszyttkiem podam pouczającą wiadomość, że suchoty czyli gruźlica niezastarzała, a wcześnie spostrzeżona, jest chorobą uleczalną, to znaczy, że przy troskliwej opiece można się z niej wyleczyć. Ale też i ta opieka musi być bardzo troskliwą. A troskliwość ta nie ma polegać na kupowaniu coraz to nowych lekarstw i sprowadzaniu coraz to nowych lekarzy, ale na zapewnieniu choremu wygodnego życia. A przez to wygodne życie należy rozumieć: czyste, świeże powietrze, dużo słońca, dobre jedzenie i sen należyty.

Chory może i powinien w pogodne, suche dnie słoneczne wychodzić na powietrze, a izbę przez ten czas powinno się przewietrzać. Nawet mroźne dnie słoneczne i suche chorym gruźliczym nie szkodzą, przeciwnie dobrze im robią. To też może najważniejszem lekarstwem dla suchotników jest czyste, świeże powietrze. Tej wygody można choremu nie skąpić — nic kosztuje ona nas wiele, zwłaszcza na wsi. Ale też o tej wygodzie trzeba pamiętać. Żadne najdroższe wina,

najkosztowniejsze lekarstwa braku powietrza nie zastąpią.

Tylko trzeba baczyć pilnie, żeby chorego nie zaziębić. Po zachodzie słońca i podczas wilgoci nie powinien chory z izby wychodzić. Nie powinien też wychodzić zgrzanym lub spoconym, nie powinien siadywać na przeciągu i wichrze.

Drugą również ważną rzeczą dla chorych gruźliczych jest dobre odżywianie czyli karmienie. Tacy chorzy najczęściej tracą apetyt. To też trzeba im ciągle podawać coś „do smaku", ale zarazem trzeba podawać rzeczy łatwo strawne, bo przy gorączce, która zwykle suchotom towarzyszy, rzeczy ciężkie trawią się trudniej. Nie można dawać dużo jedzenia, a więc ani ziemniaków, ani chleba w dużych ilościach dawać się nie powinno. Trzeba natomiast dawać mleko słodkie i kwaśne, maślankę, żętycę, masło, jaja, mięso, ryby i wszystkie owoce. Owoce szczególniej są przez suchotników bardzo pożądane, bo przy gorączce zwykle bywa apetyt na „kwasy", to też nie powinno się ich żałować, są one bowiem bardzo posilnem pożywieniem. A pożywienie trzeba ciągle odmieniać, bo chorzy grymaszą i to samo jadło łatwo im się przykrzy. A trzeba pamiętać, że chorego na gruźlicę musimy karmić, wprost wypasać. Trzeba mu dawać jeść po trochu, ale często. W niektórych uzdrowiskach czyli szpitalach podają chorym 6 albo 7 razy dziennie pożywienie, a podają wszystko jak najlepiej przygotowane, żeby smakowi chorego dogodzić.

Powietrze i dobre odżywienie to dwa najlepsze lekarstwa na gruźlicę. Żadne proszki, żadne krople tyle dobrego nie zrobią.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że się chorego nie powinno do ciężkich robót napędzać. Nie można kazać siedzieć bezczynnie, boby się nudami zamęczył, to też lekkie zajęcie chorzy mieć powinni, ale nigdy nie może to być praca taka, po którejby chory mógł czuć zmęczenie, inaczej mówiąc nie może to być praca połączona z najmniejszym wysiłkiem.

Jeżeli dodamy do tego dbałość o dobry sen, a więc usunięcie z izby płaczących dzieci, albo budzącego się wcześnie drobiu, żeby chory spał tyle, ile zapragnie i wtedy, kiedy ma do snu ochotę — oto będą wszystkie ważniejsze przepisy, któremi się z Wami, Czytelniczki moje podzielić mogłam. Widziałam już na własne oczy kilku ciężko chorych suchotników, którym z płuc całe masy krwi buchały, a którzy się wyleczyli całkowicie jedynie przez świeże powietrze, dobre żywienie i wygodne życie.

K. Bujwidowa.

Lekarze w walce z alkoholem.

Angielskie Towarzystwo lekarskie trzeźwości, jak również Towarzystwa trzeźwości amerykańskie i niemieckie, wreszcie przedstawiciele francuskich lekarzy - abstynentów, ogłosili następującą, niezmiernie ważną dla wszystkich społeczeństw świata, uchwałę, która powinna zyskać uznanie i poparcie także wśród naszych lekarzy. Uchwała rzeczona brzmi jak następuje:

„Ze względu na straszliwe klęski, powodowane używaniem alkoholu w przeróżnych postaciach, klęski, których rozmiar niemal z dniem każdym się zwiększa we wszystkich częściach świata, my, członkowie ciała lekarskiego, stanowiącego niejako tarczę ochronną zdrowia ludzkiego, czujemy się w obowiązku jasno, wyraźnie, z całą szczerością określić zarówno własności alkoholu, jego naturę, krzywdę, jaka przynosi każdemu ze spożywających go osobników ludzkich oddzielnie, jak i niebezpieczeństwo, lekceważącym zachowanie ścisłej wstrzemięźliwości. Każdy zatem powinien zapamiętać niżej wymienione przestrogi, stwierdzone doświadczeniem wieków.

1) Używanie trunków wyskokowych, nawet w małych ilościach, osłabia bądź niezwłocznie bądź po upływie pewnego zawsze niedługiego czasu, działalność mózgową (umysłową) — przeszkadza odnawianiu się, niszczonych ustawicznie wskutek czynności życiowych, tkanek i komórek organizmu — podkopuje samodzielność, sprężystość duchową, drogą stopniowego, wciąż wzrastającego osłabienia świadomości i woli — a oprócz tego, sprowadza wiele innych, niemniej fatalnych skutków. To niewątpliwie wystarcza, aby alkohol uznany został za truciznę, która nie powinna wchodzić wskład pokarmów ludzkich.

2) Doświadczenie przekonało i przekonywa nieustannie, że nawet najbardziej umiarkowane spożywanie alkoholu, w postaci t. zw. „trunków gorących", powoduje z biegiem czasu stopniową ruinę tkanek organizmu

przyspiesza ich rozkład, zmniejsza odporność na choroby, zwłaszcza zaraźliwe, a tym sposobem znacznie skraca prawidłowy okres życia ludzkiego.

3) Ludzie wstrzemięźliwi, zupełnie żadnych trunków alkoholicznych nie używający, pracują o wiele więcej i lepiej, są wytrzymalsi, mniej podlegają chorobom, a w danym razie łatwiej i prędzej wracają do zdrowia, niż niezachowujący wstrzemięźliwości. Oczywista, że wstrzemięźliwi są wolni od chorób, które przyczynia alkohol sam przez się.

4) Cały ustrój człowieka, wszystkie jego części składowe, działają bez porównania sprawniej, jeśli nie znają alkoholu. Przekonanie wręcz z wyżej wspomnianym sprzeczne, które jak często wygłaszają używający napoje gorące, jest oparte na wrażeniach fałszywych, wywołanych działaniem alkoholu na ośrodki nerwowe.

5) Dzieci alkoholików mają układ nerwowy roztrojony, nienormalny, stoją pod względem moralnym, umysłowym i fizycznym niżej od potomstwa rodziców wstrzemięźliwych. Używanie zatem alkoholu zagraża społeczeństwom zwyrodnieniem we wszystkich kierunkach; niebezpieczeństwo zaś to wzmaga się, gdyż liczba kobiet niewstrzemięźliwych z roku na rok wzrasta.

Biorąc pod uwagę, iż używanie alkoholu, zawsze i wszędzie, wcześniej czy później, sprowadza fatalne, opłakane następstwa moralne, fizyczne i społeczne, a nadto uznając, że niewstrzemięźliwość w wysokim stopniu, bezpośrednio lub pośrednio, przyczynia się do zwiększenia nędzy, cierpień, przestępstw, zbrodni, obłąkań, chorób i śmierci, nietylko wśród niewstrzemięźliwych, ale także i wśród tych, którzy muszą z konieczności z niewstrzemięźliwymi przestawać; uczuwamy się w prawie nawoływać, żądać i nakłaniać społeczeństwa do zaprowadzenia zupełnej, przymusowej trzeźwości, gdyż to jest droga najpewniejsza, niezawodna, najprostsza i najkrótsza do usunięcia wszelkich klęsk i nieszczęść, spowodowanych przez używanie napojów gorących. Droga ta jest przytem najprostsza i zupełnie naturalna. Wierzymy mocno, że era zdrowia, szczęścia i pomyślności nastąpi z chwilą zapanowania trzeźwości zupełnej i że wtedy rozstrzygnięte zostaną mnogie zagadnienia społeczne, które w innych warunkach załatwionemi być żadną miarą nie mogą.

Pragnęlibyśmy, aby to wezwanie pozyskało rozgłos jak najszerszy, aby je wzięły do serca wszystkie społeczeństwa cywilizowane. Świat szczyci się świetnemi, zdumiewającemi zdobyczami wiedzy, lecz dotychczas poszczycić się nie może zwycięstwem, które powinno być zasadniczym ideałem ludzkości: zapanowaniem rozsądku nad namiętnościami. A przecież człowiek posiada wolną wolę. Ulegając w tak szczęśliwych warunkach namiętnościom, popełnia nieprzebaczalne przestępstwo. Chcąc osiągnąć szczęście, bądźmy przedewszystkiem ludźmi.

Poradnik zdrowia.

Kobieta-bartnikiem.

Ojczyzna nasza słynęła w dawnych czasach jako kraina miodem płynąca. W nieprzebytych lasach, po gajach i osadach pełno było pasiek, które dostarczały obficie miodu. W dziupłach drzew leśnych, w kłodach dłubanych żyły rodziny pszczelne, tworząc znaczne osady, któremi władał najczęściej stary, doświadczony, siwowłosy bartnik.

Sycono miód pitny, który piła szlachta, piło rycerstwo, pił go i lud wiejski.

Pasieki otaczano prawem nietykalności; bartników czcią i szacunkiem oraz przywilejami królewskimi.

Minęło wieków kilkanaście. Zmieniło się nie jedno; zmieniły się też i pasieki nasze. Czas i okoliczności nie sprzyjają rozwojowi pasiek, zdziesiątkowały je, a tu i ówdzie zupełnie wyniszczyły. Dawne liczne osady pszczelne należą dziś do przeszłości, a stary, brodaty bartnik, to postać dla nas legendowa.

Na podstawie nauki, badań i praktyki mozolnej obmyślili gospodarkę rozumną, która wprowadzona w życie daje zadowalniające wyniki. Dr. Ciesielski, współczesny a najbardziej zasłużony pracownik na polu pszczelnictwa krajowego, w dziele swem z r. 1888 twierdzi na podstawie dat zebranych z lat kilkunastu, że pszczelnictwo stoi u nas prawie najwyżej ze wszystkich państw. Według obliczeń tegoż autora, Galicya sama liczyła w 1880 r. 295 686 pni pszczół, które przyniosły w jednym roku przeciętnie 3,000.000 klg. miodu, a 60 000 klg. wosku, t. j. blizko jeden milion złr. dochodu.

A przecież stawiamy dopiero pierwsze kroki na drodze postępowej gospodarki w pasiekach; więc wolno nam mieć nadzieję, że pasiecznictwo nasze stanie wnet na pożądanej wyżynie tem bardziej, że działalność w tym kierunku żywo rozwinięta.

Nasuwa się obecnie pytanie, jakie stanowisko wobec tej sprawy ma zająć kobieta? Czy może ona być bartnikiem?

Historya pszczelnictwa z czasów dawniejszych nie podaje nam takich przykładów. Kobieta nie zajmowała się bartnictwem, ale też odsądzoną ona była wtedy i od wielu innych zajęć, jakim oddają się dzisiaj kobiety. Miarodajnym dla nas w tej sprawie niechaj będzie udział kobiet w czynności, podjętej przez liczne towarzystwa ogrodnicze w celu podniesienia tej gałęzi gospodarstwa rolnego. Są one tych towarzystw członkami i to członkami bardzo rzutkimi i czynnymi, i jeśli niektóre z towarzystw ogrodniczych zapisały w owych kronikach owoce chlubnej działalności, to znaczna cząstka zasługi przypada i »członkom-kobietom«.

Pszczelnictwo, siostra sadownictwa, ale siostra młodsza i zapomniana, czeka również podobnej opieki i pomocy ze strony kobiet polskich.

Czy zaś kobieta może być bartnikiem? — na to odpowiada jasno i wyczerpująco znaczenie pasiecznictwa i zasady rozumnej gospodarki.

Kto chce mieć dochód z pasieki, ten musi przedewszystkiem sam w niej prowadzić gospodarkę, a nie opuszczać się na płatnych dozorców. Aby zaś gospodarować mądrze, potrzeba na to czasu wolnego. Gospodarze tak mniejszych jak i większych posiadłości rolnych, którzy są najodpowiedniejszymi właścicielami pasiek, nie wiele mają czasu wolnego, aby się oddać doglądaniu pasieki. O wiele swobodniejszemi w tym względzie są ich żony i córki. One wtedy, gdy mężowie i ojcowie pracują w pocie czoła na roli, mogą pracować w pasiece.

Zasadą przy pracy około pszczół powinno być jak najłagodniejsze obchodzenie się z temi dość drażliwemi stworzeniami. Pszczoła w obronie swej rodziny, mienia i chatki poświęcić gotowa życie w jednej chwili; a przecież łagodnością pokonana, pozwala zupełnie się obrabować. A któż łagodniejszy z natury — mężczyzna czy kobieta? Kobiecie łagodność wrodzoną. Ona najcierpliwszą umie być żoną i matką, ona potrafi być łagodną i pobłażliwą panią dla pszczół.

Owocem gospodarki w pasiece jest miód i wosk. Robota przy wyciąganiu miodu, odbieraniu na miodarce, cedzeniu, przechowywaniu itp. wymaga wielkiej staranności i przestrzegania czystości, a przytem jest o tyle przykrą, że miodem obierają się naczynia i ręce pracującego. Z tem wszystkiem prędzej da sobie radę kobieta niżeli mężczyzna. Kobieta pracuje przy żniwach miodnych z zapałem, który daje ta myśl, że zapasy spiżarni się powiększą, że w piwnicy przybędzie beczułeczka »miodu panieńskiego«, że na święta będą wyborne pierniki itd. itd

Jedną jedyną zaporą, o którą rozbijają się dobre chęci naszych gospodyń, aby zostać bartnikiem, jest obawa przed żądłem robotnic pszczelnych. Że pszczoły kłują i to kłują bardzo boleśnie, ani zaprzeczyć, ani ukryć się nie da. Dziś mamy jednak tyle rozmaitych przyborów pasieczniczych jak: siatki, rękawice, płaszcze itp., że można bezkarnie wśród pszczół pracować.

Wiedzą jednak z doświadczenia pszczelarze, że pszczoła tak zna swego opiekuna, jak dzieci ojca, i gdy tylko tenże jest dla pszczół jak ojciec łagodnym, to i one płacą mu równą monetą. Dla dobrego bartnika-kobiety powinny być jeszcze względniejszemi.

Zresztą, że kobieta może być dobrym bartnikiem w obecnych czasach, stwierdzają to już i przykłady. Zeszłego roku widziałem na Prądniku u p. Brzezińskiego, ispektora doświadczalnego ogrodu uniwersyteckiego, praktykantkę p. X. Y., która już w pierwszych lekcyach brała śmiało i odważnie udział w pracy przy pszczołach. Pani B., żona leśniczego z L..., gospodaruje w pasiece o 14 pniach zupełnie dobrze. Panna M. F. z J. poświęca się bardzo gorliwie praktyce pszczelnej.

Pracownic takich cichych a żwawych naliczyłbym wiele, a da Bóg, że wnet będziemy ich mieli jeszcze więcej.

Pieczarki czyli szampiony.

Słysząc co roku o licznych otruciach grzybami, wybieramy się z obawą na ich zakupno, bo nie możemy być dość pewni, czy i nas ten sam los nie spotka. Oprócz bowiem grzybów znanych od dawna przez ogół, jest wiele mniej pewnych, podejrzanych, których zakupna trzeba się wystrzegać, bo do dziś dnia nie ma środka, przy pomocy którego możnaby stanowczo orzec, czy grzyb jest jadalny, czy jadowity. Wszelkie sposoby rozpoznawania jadowitości, z barwy, zapachu, wydzielania zabarwionych soków, jakoteż badania domowe przy pomocy białka, octu, soli i t. p. zbyt często zawodzą. Ze względu zresztą na to,

że grzyby w pewnych tylko porach rosną i że są lata, kiedy się ich bardzo mało pokazuje, może być bardzo popłatną ich sztuczna hodowla.

Do znanych powszechnie i przez smakoszy wysoce cenionych grzybów należy pieczarka. Znajdujemy ją rosnącą dziko na pastwiskach, w starych inspektach, przy kupach kompostowych, i wszędzie tam, gdzie nawóz koński jest w obfitem użyciu. Poznać ją łatwo po krótkim trzonie i białym z wierzchu papeluszu, pod którego spodem widać promienisto ułożone cieniutkie blaszki (błonki). Z początku są one barwy różowej, później ciemnieją, a gdy kapelusz rozłamiemy, zobaczymy na przełomie miąższ biały, który barwy nie zmienia.

Spożywanie tego znakomitego grzyba tak się za granicą wzmogło, że nie poprzestają tam tylko na zbieraniu dziko rosnących pieczarek, lecz oddawna już hodują je sztucznie, by pokryć zapotrzebowanie wszystkich lepszych jadłodajni, z czego ludzie z hodowlą pieczarek obeznani, dobre ciągną zyski.

Wszędzie w pobliżu wielkich miast, a szczególnie w okolicy Paryża, uprawiają pieczarki na wielką skalę i mają z nich milionowe dochody.

U nas hodowla pieczarek nie może się dotychczas rozwinąć, raz z powodu małego zapotrzebowania, a powtóre z powodu uprzedzenia do wszystkiego, co swojskie. Wolą raczej sprowadzać francuskie pieczarki (championy) w słojach i słono za nie płacić, niż nabywać krajowe i dać przez to utrzymanie tym biedakom, którzy się tą hodowlą zajmują. Pieczarki, które niektórzy hodują w kraju, nie ustępują w niczem francuskim, tak pod względem białości miąższu, zapachu, jakoteż smaku, a mają tę wyższą zaletę, że są o połowę tańsze.

Hodowla pieczarek jest bardzo pojedyńcza i da się wszędzie przeprowadzić, byleby miejsce było ciemne i ciepłota nie niższa, jak 10° C. Nadzadzą się zatem do tego celu: piwnice, cieplarnie, inspekta, pieczary, kamieniołomy, stajnie, wozownie i t. p., ba, udadzą się nawet na otwartem powietrzu. Dlatego wskazanem by było, żeby każdy, kto odpowiednie miejsce do tego posiada, starał się zająć uprawą tej pożytecznej rośliny, bądź na własny użytek, bądź też na sprzedaż.

Najważniejszą rzeczą przy hodowaniu pieczarek jest dobry nawóz i odpowiednie przygotowanie tegoż. Najlepszy nawóz będzie od koni pociągowych, żywionych suchą paszą, to jest karmionych owsem i sianem. Lecz nawóz taki musi przez ośm do dziesięciu dni leżeć pod końmi, by dobrze nasiąknął uryną. Na podściół użyć słomy czystej, bez domieszki takich materyałów, któreby ulegały powolniejszemu rozkładowi, aniżeli słoma. Tak przysposobiony nawóz w stajni, wynosi się do ogrodu, lub w inne miejsce, gdzieby go nie rozgrzebywały kury lub trzoda i układa się w stos na 1 mtr. szeroki, tyleż wysoki, a dowolnie długi. Przy układaniu nie potrzeba nawozu udeptywać, wystarczy, gdy się go przyklepie widłami, wszelkie jednak zanieczyszczenia, jak: siano, gałązki, drzazgi, twarde łodygi chwastów i t. p. trzeba z nawozu starannie usuwać, a pozostawić tylko słomę i odchody.

Po ułożeniu stosu, trzeba go zabezpieczyć od deszczu lub śniegu przez nakrycie deskami lub matami. Robi się to w porze letniej, to trzeba wybrać miejsce dobrze zacienione, żeby nawóz nie wysychał i byśmy nie byli zmuszeni skrapiać go wodą, bo to wpływałoby ujemnie na własność nawozu.

Skoro nawóz się zagrzeje i pocznie fermentować, wtedy trzeba go przerobić, to jest tak przemieszać, by warstwy zewnętrzne dostały się do środka, a środkowe na zewnątrz. Takie przerzucanie nawozu należy powtórzyć dwa i więcej razy. Ile razy przerzucić, zależeć będzie od stanu przefermentowania. Nawóz słomiasty, do tego w porze wilgotnej fermentuje powolniej, więc wypadnie go przerabiać częściej.

Lecz w każdym razie przerabiać dopiero po zupełnem zagrzaniu się. Takie przygotowanie nawozu trwa mniej więcej 8 do 14 dni. A nawóz będzie już dobry, gdy jest należycie przetrawiony, to jest gdy posiada umiarkowane ciepło, gdy nie jest ani za suchy, ani za mokry, a przy ściskaniu lepi się do ręki i wydaje przyjemy właściwy sobie zapach. Wtedy można przystąpić do zakładania grzędy pieczarkowej, lecz musi się do tego celu mieć zarody, o które potrzeba się postarać wcześniej.

Pieczarki rozmnażają się z grzywni (mycelium), to jest z nitek białawych, podobnych zupełnie do pleśni, a zwanych u ludu kwiatem pieczarkowym. Można ją zbierać wraz z ziemią w tych miejscach, gdzie pieczarki w dzikim stanie rosną, lub nabyć w handlach ogrodniczych.

Z przygotowanego nawozu, robi się tak

zwane podkłady pieczarkowe, którym można nadać kształt rozmaity i tak: mogą być półokrągłe, graniaste, wypukłe, płaskie i t. d., mogą też opierać się jedną stroną o ścianę, lub stać całkiem wolno. Takie kształty nadaje się podkładom w pieczarkarniach, w piwnicach lub na otwartem powietrzu; gdy jednak miejsca mamy nie wiele n p. w stajni, to robimy odpowiednie półki i te półki poprzybijamy jedną nad drugą w odstępach 60 do 70 cm. Tym sposobem wykorzystamy ścianę do hodowli pieczarek.

Można także robić podkłady w starych cebrzykach, niskich beczkach i t. p. naczyniach. Jeżeli podkłady zamierzamy robić w piwnicy lub na otwartem powietrzu, to czynimy to zazwyczaj przy jednej ze ścian, na powietrzu od północnej strony budynku.

Dalszy tok postępowania będzie następujący: Oto nawóz przygotowany rozpościeramy równo, formując zeń warstwę na 60 cm. szeroka, u podstawy 26 cm. grubą, a dowolnie długą. poczem mocno go ubijamy ubijakiem lub jeszcze lepiej pięściami. Na tak ubitą warstwę dajemy znowu 25 cm. grubo nawozu, tylko cokolwiek węźej i znów mocno ubijamy. Tak postępujemy coraz wyżej, aż pokład ów dojdzie do 50 cm. wysokości. Do cebrzyków dajemy tyle nawozu, by około 15 cm. ponad brzegi wystawał, na półki potrzeba dać 30 do 40 cm. grubo, a wszędzie dobrze ubijać, by powietrza jak najmniej w nawozie pozostało.

Po kilku dniach poczną się owe pokłady rozgrzewać i wtedy należy przystąpić do stosownego rozmieszczenia grzybni czyli zarodów. Wprzód jednak trzeba zbadać ciepłotę podkładów, która nie powinna być wyższą nad 35⁰ C., gdyż inaczej zarody ulegną zepsuciu. Najodpowiedniejsza temperatura będzie 20 do 25⁰ C., którą najlepiej zbadać przy pomocy ciepłomierza. Gdyby ciepłota przenosiła 35⁰ C., należy zrobić kilka otworów kołkiem, parę dni poczekać, aż spadnie do 25⁰ C. i wtedy grzybnie rozmieścić, a wykonuje się to w następujący sposób: W wysokości 15 cm. od dołu, w odstępach 25 cm. robi się wązkie otwory na 10 cm. głębokie i wkłada w nie kawałki grzybni 6 cm. szerokie, a 3 do 4 cm. grube, poczem otwory się zakrywa i lekko przyklepuje.

Jeżeli wszystkie czynności od początku były dokładnie wykonane, to po 14 dniach ukażą się wokoło miejsc, gdzieśmy grzybnie założyli, jakby białe nitki pleśni, co jest oznaką, że grzybnia się przyjęła. Poczekawszy jeszcze z 8 dni, aż całe podkłady zostaną tą pleśnią objęte, przysypiemy ją na 1 cm. grubą ziemią gliniasto-piaszczystą, najlepiej taką, która jeszcze w uprawie nie była, n. p. z pod fundamentów i oczekujemy spokojnie ukazania się pieczarek.

Przez cały czas baczyć potrzeba, by ziemia na grzędach pieczarkowych umiarkowanie wilgotną była; w razie wyschnięcia należy ją skrapiać letnią, miękka wodą, w której rozpuszcza sie nieco saletry n. p. 10 gramów w litrze. Po dwóch lub trzech tygodniach poczną się ukazywać małe białe grzybki, które za parę dni osiągną swą naturalną wielkość, poczem należy bezzwłocznie przystąpić do zbioru.

Zbiór odbywa się w ten sposób, że objąwszy ręką kapelusik grzyba, ujmiemy za trzon tuż przy nasadzie i obróciwszy raz w prawo, a raz w lewo, pociągniemy do góry. Powstałą po wyjęciu grzyba próżnię, zasypać należy pulchną ziemią. Nie trzeba pozwolić, by pieczarki przerastały, w nadziei otrzymania większego plonu, ale zbierać codziennie, a niekiedy i dwa razy na dzień, dopóki kapelusik przyrośnięty do trzonu — inaczej nie będą one miały wartości.

Po każdym zbiorze należy próżne miejsca zasypać ziemią i zraszać letnią wodą. Unikać jednak trzeba zbytecznej wilgoci, bo chociaż pieczarki lubią wilgoć, jednak od jej zbytku się psują Chcąc mieć pieczarki ciągle, czy to dla siebie, czy też na sprzedaż, trzeba nowe grzędy czyli podkłady co dwa miesiące zakładać.

Gdy grzęda przestanie plonować, co zwyczajnie po trzech miesiącach następuje, należy ją rozebrać. Zgarnąwszy z niej ziemię, bierzemy nawóz i patrzymy, czy nie jest przerośnięty białemi, jakoby nitkami — jeżeli tak, to taki nawóz przesuszamy i użyjemy go na nową grzędę, bo to są właśnie zarodki pieczarek; jeżeli zaś nie, to go wynosimy na rolę jako zwykły nawóz. Zarodki pieczarek należy trzymać w miejscu suchem n. p. na strychu, bo w wilgotnem prędko się psują.

Miejsce, na którem były pokłady pieczarkowe, należy oczyścić, ściany piwnicy oskrobać i pobielić, półki, cebrzyki i t. p. wyszorować i pociągnąć mlekiem wapiennem, a dopiero potem na nowo do hodowli przystąpić.

Do największych szkodników przy uprawie pieczarek należą czarne muszki i stonogi,

które jednak tylko w pieczarkarniach i piwicach w wiekszej mogą się pojawić ilości. Przeciw muszkom dobrze jest wysiarkować piwnicę lub wykurzyć dymem z prostego tytoniu, a stonogi chwyta się pod wydrążoną kalarepę, buraki i t. p.

Porada na ślimaki w zbożu.

Jeżeli się pokażą ślimaki na oziminie, należy wpędzić w to pole kury pilnując jednak, aby nie grzebały w jednem miejscu, przeto powinno się je łagodnie przepędzać z jednego miejsca w drugie, a wtedy będą zbierać ślimaki, nie uszkodziwszy oziminy.

Gdy jednak zbyt wielka ilość ślimaków obsiędzie zboże, można średnio ciężkim żelaznym walcem przeciągnąć po oziminie, to trochę się ich porozgniata, chociaż nie wszystkie. Często obsiadują ślimaki koniczynę — a wtedy, aby nie dopuścić ich do zboża, usypać należy między koniczyną tą a zbożem wał na 1 metr szeroki z wapna lasowanego, miałkiego lub popiołu. Ślimaki dążąc ku zbożu natrafią na tem wał, z którego dalej poruszyć się nie będą mogły, bo popiół lub wapno oblepi się dokoła ich ciała i zatamuje dalsze ich ruchy, wtedy powinno się zebrać ten popiół lub wapno i zmięszać z kompostem.

ROZMAITOŚCI.

Zjazd hakatystów Niemców, wrogów naszych, odbył się w Poznaniu w grudniu. Przewodniczący Kenneman z Męki stwierdził, że liczba członków tego towarzystwa wzrosła bardzo znacznie. W r. 1901 wynosiło 20.307 członków, obecnie mają 26.255. Uchwalili na tem zgromadzeniu dążyć do większego jeszcze prześladowania narodowości polskiej i wynarodowiania nas przez zakładanie szkół niemieckich po wsiach i miastach. Postanowiono również niemczyć imiona i nazwiska polskie.

Tak drogie Siostry nasze, wrogowie naszej wiary i narodowości sposobią się do coraz zaciętszej z nami walki. Cóż nam więc pozostaje, czy nie praca i wytrwała praca około pielęgnowania i ukochania wszystkiego, co nasze, a przez to krzewienia mowy naszej, pieśni polskiej — utrzymywania i zakupywania ziemi naszej — popierania naszego przemysłu polskiego i wyrobów naszych. Oni się organizują, by nas zwalczać — my organizujmy się i bądźmy gotowi do tej walki w imię sprawiedliwości.

Wiec polski w Bytomiu na Górnym Śląsku odbył się w święto Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi. Polskie Towarzystwo na Śląsku zwołało pierwszy wiec przedwyborczy do Bytomia. Omawiano na nim sposób samoobrony przeciw germanizacyi. Wzywano do popierania tylko spraw polskich i wszystkiego, co polskie. Zamknięto wiec ten wzywając do pracy wytrwałej, bo tylko silni jednością i miłością bratnią pokażemy swym przeciwnikom, że jesteśmy potęgą, z którą każdy będzie się musiał liczyć.

W tej pracy przedewszystkiem kobiety polskie jako wychowawczynie młodych pokoleń powinny wziąść najpierwsze miejsce, gdzie to przedewszystkiem pierwsze słowa, jakie jej dzieciątka mają wymówić, powinna się starać, aby były polskie, aby one po polsku mówiły swe modlitwy, aby ich niewinne usteczka nie były kalane mową nam obcą i wrogą, aby piosnka polska rozbudzała swymi dźwiękami ich serduszka młodociane, uczucia szlachetne do ukochania naszych bohaterskich i świetnych dziejów — tej naszej Ojczyzny, skutej potrójnymi kajdanami.

Moskale a prawa Kościoła katolickiego w Królestwie Polskiem. Od lat kilku rząd rosyjski stara się opanować seminarya duchowne w Królestwie i także niezatwierdzonego przez rząd rosyjski księdza rząd uważa za zwykłego kleryka i nie pozwala mu spełniać obowiązków duchownych, a więc odprawiać Mszy św., spowiadać itd.

Egzamina ustne i piśmienne nakazał gubernator alumnom składać po rosyjsku. Duchowieństwo polskie tak w Królestwie Polskiem jak też i całej Polski powinno się oprzeć temu bezprawiu i nie dopuścić do zamachu na prawa Kościoła.

Dzień drugi Bożego Narodzenia zaznaczył się burzami, o jakich najstarsi ludzie nie pamiętają, o których rozmaite pisma tak wspominają;

Grzmoty i błyskawice można było słyszeć i widzieć w Krakowie w drugi dzień świąt. Niezwykłe to zjawisko wydarzyło się w piątek między godziną 11 a 12 przedpołudniem. Po mglistym i mokrym poranku przeleciała nagle przez miasto śnieżyca z grzmotami i błyskawicami, poczem zapanowała przez cały dzień pogoda.

Z okolic Krakowa donoszą również o grzmotach i błyskawicach. Krążą nawet wieści, że w Skawinie uderzył piorun w kościół podczas nabożeństwa i poraził kilka osób.

Z Żywca donosili nam pod datą 26 grudnia: W godzinach popołudniowych mieliśmy niezwykłe zjawiska: grzmoty z błyskawicami. Ludzie na ulicach uciekali w popłochu do domów. Przez dłuższą chwilę panowała śnieżyca i burza.

Z Nowego Sącza również pisali: Po kilkunastu

stopniowym mrozie nastała w piątek rano nagle odwilż z ciepłotą 4·50 C. przy wietrze południowo-zachodnim. W południe zaczęła nagle szaleć wichura ze śniegiem, grzmotami i błyskawicami, co trwało około 20 minut, poczem się wypogodziło i wiatr ustał zupełnie.

Burza, która w ostatnich dniach szalała prawie w całej Europie, wyrządziła i w Księstwie Poznańskiem liczne szkody, jak donoszą z różnych okolic. Nie ma prawie miasta, w któremby orkan nie zerwał kilku dachów lub nie powyrywał drzew z korzeniami. Przewracał nawet latarnie uliczne. W Dalkowie pod Inowrocławiem nie obeszło się bez ofiar w ludziach. Wiatr zerwał tam dach ze stajni i zrzucił go na ziemię, przyczem pewien 17-letni robotnik odniósł tak ciężkie uszkodzenie ciała, że w kilka godzin zmarł. W Elblągu przegiął ostatni orkan szczyt wieży ratuszowej tak, że grozi spadnięciem. Plac przed ratuszem dla publiczności zamknięto. W Królestwie Polskiem burza zniosła wiele słabiej zabezpieczonych budynków gospodarskich, dworskich i włościańskich, zrywała dachy blachą i gontem kryte, wywracała wiatraki, waliła najtęższe drzewa. Wicher zakończył się zadymką śnieżną, przyczem w niektórych okolicach śnieg spadł obficie. W Odessie na ulicach leżały dziesiątki słupów telefonicznych. Zamieć i mrozy uszkodziły system telegrafu i oświetlenia elektrycznego. Z powodu odwilży druty pękają i wchodząc w połączenie bezpośrednie, powodują wypadki. Przy ulicy Derybasowskiej spadłe druty zabiły dwa konie i woźnicę, a pokaleczyły odźwiernego. Z Wrocławia donoszą, że na całym Śląsku szalała burza z błyskawicami i grzmotami. Na Hamburg spadła ulewa i burza. Wicher zerwał z wieży jednego z domów dach blaszany, który spadł na przepełniony pasażerami wagon kolei obwodowej. Dwie osoby są ciężko ranione, pięć lżej. W Królewcu błyskawice i grzmoty towarzyszyły ulewie; mnóstwo dachów w mieście pozrywanych, szyby w wielu domach strzaskane, w ogrodach i na skwerach drzewa powyrywane z korzeniami. W Kopenhadze również burza i wichura zrządziły wielkie spustoszenia w budynkach, drzewach i śród okrętów.

Katastrofa kolejowa. W Nowym Sączu dnia 26-go grudnia w nocy o godzinie wpół do 12, stanęła w polu maszyna pomocnicza, która wiozła pociąg towarowy Nr. 1284, idący z Nowego Sącza do Suchej. Na 3 kilometry przed stacyą Dobra powstała wielka śnieżyca i pokryła śniegiem na 3 metry całą lokomotywę. Na pomoc zasypanej lokomotywie wysłano z Mszany dolnej drugą lokomotywę, odpiętą od pociągu Nr. 1279, dążącego z Suchej do Nowego Sącza. Z powodu braku sygnałów zderzyły się obie lokomotywy, przyczem maszynista Kalita i palacz Repel odnieśli uszkodzenia, na szczęście niegroźne. Zmobilizowano ze wsi pobliskich 80 chłopów, którzy po 3 godzinach ciężkiej pracy odkopali lokomotywy.

Skutkiem wypadku musiał pociąg osobowy, idący z Krakowa przez Suchę do Nowego Sącza, stać przez 3 godziny; zamiast o 2·50 w nocy, przybył do Sącza o 6·12 rano. Również pociąg osobowy, idący do Krakowa przez Suchę, musiał czekać w Dobrej tak długo, aż pociąg osobowy Nr. 217 odjedzie z Kasiny do Dobrej.

Katastrofa w kopalniach jaworzyńskich. Przed kilku dniami o godzinie 3 nad ranem wybuchł pożar w kopalniach węgla w Jaworznie pod Szczakową, będących własnością Guttmanów. Szacht węgla „Helena“ budowany z drzewa spłonął doszczętnie, drugi szacht „Paulina“ został mocno uszkodzony. Maszyny parowe i warsztaty uratowano.

W czasie pożaru zniszczone jednak zostały pompy wodne, skutkiem czego woda zalała już częściowo kopalnię i jest obawa, że woda zatopi zupełnie kopalnie.

W kopalni tej znajduje się jeszcze trzeci szacht „Rudolfa“, ale został on jeszcze w początkach sierpnia r. z. skutkiem eksplozyi kotłów uszkodzony, a naprawa jego ukończoną jeszcze nie została i nastąpić to ma dopiero w maju 1903 roku. Tak więc kopalnie węgla Guttmana, które dawały kilkaset wagonów dziennie, stanąć muszą zupełnie z robotą. W ostatnich czasach w szachtach „Helena“ i „Paulina“ pracowano dniem i nocą, aby podołać zamówieniom i skutkiem tego pracowało w nich około 2.000 robotników. Ci wszyscy teraz zostali nagle pozbawieni pracy, a tak prędko pracy nie znajdą, w kopalni zaś jaworzyńskiej przerwa w robotach aż do rekonstrukcyi szachtów potrwa długie miesiące.

Przyczyna pożaru dotąd nie jest wiadoma.

Wylew Wisły. Piszą nam d. 1 b. m.: Wieś Wolica znów pod wodą. D. 28 grudnia o godz. 7 rano pękanie lodu na Wiśle przestraszyło mieszkańców. W godzinę później lód już z trzaskiem ruszył, łamiąc galary i łodzie, i płynął całem korytem. O godzinie 10 lody się zatrzymały, a stan wody zaczął się nagle podnosić. Trwało to przeszło godzinę. Strach ogarnął mieszkańców, którzy poczęli się wynosić z domów i wyprowadzać bydło W południe znów kry ruszyły, woda zaczęła opadać i zdawało się, że już niebezpieczeństwo minęło.

Tymczasem o godzinie 9 wieczorem, gdy ludność do snu się już układała, przypłynął lód z gór, powstał zator poniżej Wolicy i nagle wody poczęło przybywać. O godzinie 3 po północy tłuczenie w okna zerwało mnie z łóżka. Woda!... Patrzę, a tu już cała szkoła wygląda, jak arka Noego, a trzech wieśniaków przybyło łodzią, ażeby swemu nauczycielowi dać pomoc. Głos przeraźliwy: „wstawać!“ i szum wody rozlegał się w powietrzu i światła zaczęły tu i owdzie migotać. O godzinie 8 zrana woda poczęła opadać, gdyż koło zatoru przerwała woda wały i ruszyła dalej. Obecnie

woda opadła, komunikacya jednakże odbywa się na łodziach. *S. P.*

Nie dajmy niszczyć lasów! Pod tym napisem wychodząca w Krakowie *Prawda* zamieściła, podobnie jak w przeszłym tak i w tym roku, dla włościan galicyjskich chwalebną przestrogę przedgwiazdkową. Otóż X. J. Waligóra z Jeleśni koło Żywca wykazuje, jak przed dwoma latami „źli ludzie całymi tysiącami wycinali najładniejsze i najzdrowsze jodełki i Prusakom na choinki sprzedawali“, a jak mu się udało za pomocą starostwa takiemu prawdziwemu wandalizmu zapobiedz. Z żalem wypada mu jednak donieść, że w przeszłym roku kolej przewoziła całe wagony choinek z powiatu dalszego, a mianowicie z limanowskiego, że większa część tych drzewek jest skradziona a przez handlarzy odkupiona od parobków lub nawet dzieci szkolnych, że często nie płacono za choinki pieniędzmi, ale tylko „słupkami“ wódki, a stąd były we wsiach po całych nocach pijatyki i hałasy. „Nie dajmy niszczyć lasów“, kończy X. W. cenne swe wywody, „bo przyjdą takie czasy, że nie będzie z czego chaty postawić, ani czem w piecu podpalić, a Prusacy, jak chcą mieć choinki, to niech je w swoich lasach wycinają“.

Ale nie tylko z tych samych powodów powinniśmy lasy ochraniać. Wiadomo bowiem, że lasy mają nader wielki wpływ na klimat, a zatem także na stan zdrowia naszego. Otóż stwierdzono naukowo, że np. jeden tylko mórg lasu szpilkowego wyniesionych zostaje do góry t. j. w powietrze rocznie 10 do 15 milionów wody. Z tego względu nazywać można lasy naszem „suchem morzem“, łagodzącem nasz klimat, i użyźniającem przez to nasze pola, i działającem nader korzystnie na zdrowie nasze. A zatem jeszcze raz: Nie dajmy niszczyć naszych lasów!

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

O chowie królików i jak wyprawiać skórki królicze, napiszemy w następnym numerze.

„Quo vadis“ H. Sienkiewicza kosztuje 1 K. 60 hal. „Potop“, „Ogniem i mieczem“ i „Pan Wołodyjowski“ 5 K. 50 hal. „Krzyżacy“ 1 K. 60 hal. nabywać i zamawiać można w księgarni K. Wojnara, ulica Szewska L. 13 — jak również prześliczne kalendarze: „Maryański“ za 80 gr., „Gospodarz“ za 80 gr., „Polak“ za 80 gr., „Uniwersalny czyli powszechny“ za 80 gr., „Wydawnictwo jubileuszowe M. Konopnickiej“ za 70 gr.

Po wszystkie wydawnictwa prosimy Szan. Czytelniczki i Czytelników zgłaszać się wprost do tej księgarni, a rychło wszelkie przesyłki będą uskuteczniona.

Administracya ani Redakcya *Przodownicy* podjąć się nie mogą tej miłej dla niej misyi, bo natrafia na wielkie trudności z wysyłką żądanych rzeczy, tem więcej jeżeli ich nie posiada na składzie.

Dlaczego numer noworoczny „Przodownicy“ opóżniony — oto dlatego drogie nam Siostry, że prenumerata nie wpływa na czas oznaczony. Prenumerata tak mała; że w porównaniu do wartości pisma, nie jest ona w stanie opłacić kosztów druku, papieru, obrazków itd., a tu Czytelniczki i Czytelnicy opóżniają się z opłaceniem tejże. Nie ma w Galicyi pisemka tak taniego — są wprawdzie i niższe prenumeraty, ale za to pisemka są o połowę mniejsze i nie posiadają tyle wiadomości, powiastek i obrazków. Jeżeli zależy Wam, drogie nam Czytelniczki, aby *Przodownica* punktualnie wychodziła, przesyłajcie prenumeratę jak możecie najrychlej, jednajcie jej Czytelniczki i Czytelników, którzyby ją prenumerowali, a wtedy będzie mogła wydawać „dodatek“, poświęcony wyłącznie Waszym kochanym dziatkom.

Za życzenia Noworoczne przesyłamy Wam również szczere i bardzo serdeczne życzenia „Szczęść Boże“ w Waszej znojnej a uczciwej pracy, „Szczęść Boże“ Waszym rodzinom, „Szczęść Boże“ Waszym dziatkom.

„Szczęść Boże“ Wam we wszystkiem! „Szczęść Boże“ i tym, którzy obok ciężkiej pracy, obok niedoli, która ich ciężko smaga, kochają naszą Ojczyznę, kochają tę ziemię krwią męczenników zroszoną, którzy kochają te pieśni nasze, tę mowę polską, którzy swe modły wznoszą do Boga w języku ojczystym, którzy pracują dla chwały Boga i Ojczyzny. Bo każda Wasza praca, najdroższe Siostry i Bracia, jeżeli jest zacną i doskonałą, to przynosi chlubę narodowi.

Nieustawając więc w pracy około roli i przemysłu, około wychowywania dziatwy w duchu polskim, około podniesienia oświaty naszych Sióstr i współbraci, pouczajmy ich, uświadamiajmy, zachęcajmy do czytania pism i książek pouczających, bądźmy moralnymi i uczciwymi, wierzącymi w sprawiedliwość Bożą — pracujmy, pracujmy i jeszcze raz pracujmy wytrwale, niezmordowanie w każdym kierunku, a zwycięstwo po naszej stronie, bo Bóg błogosławi nam. A więc w imię Boga „do pracy, wszyscy do pracy — dłonią w dłoń“ — ale wszyscy bez wyjątku, bo każdy i każda z nas, Siostry drogie, może dużo zdziałać. Jeżeli weźmie sobie za gwiazdę przewodnią Boga i Ojczyznę. Jeżeli każdą pracę, jaką podejmie czy to wyrobnica, czy gospodyni, pani, czy sługa, uczona czy nieuczona podejmą w intencyi, iż pracują na chwałę Boga i Ojczyzny, wtedy praca ich będzie piękną, szlachetną i doskonałą, bo tylko dobrem służyć można Bogu i Ojczyźnie. A świadomość ta, dlaczego pracujemy, upiękni, okrasi nasze ponure i smutne życie, rozjaśni nasze czoła, rozweseli serca i błogość wstąpi w nasze dusze za spełnianie uczciwe naszych obowiązków.

A więc „Szczęść Boże“ i daj nam wytrwałość!

Redakcya.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

DZIURDZIOWIE.

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

I.

W Suchej Dolinie zapanowało widoczne wzburzenie. O co tak bardzo szło mieszkańcom tej wioski, długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów dość malowniczo rozciągniętej, pośród pól zlekka falujących i zdobiących je osinowych i brzozowych gajów? Większość chat miała pozór dodatni; były wprawdzie pomiędzy niemi niziuchne, ubożuchne i nadpróchniałe, ale nie brakło i takich, które świeciły białemi kominami, sporemi oknami i porządnemi ganeczkami, opartemi na słupkach i zaopatrzonemi w wązkie ławeczki do siedzenia.

Te pola, falujące i gajami uwieńczone, miały pozór żyzności i niezłej uprawy; za niemi zieleniło się trochę łąk i dobrych pastwisk; w ogrodach gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe ziemniaki wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzewały, gęsto sadzone wiśniowe drzewa dawać musiały obfite plony owoców. Nędza więc zaglądała tu chyba tylko niekiedy i jedynie do najuboższych chat; najdostatniejsze wyglądały tak, jak gdyby w nich nietylko chleba, ale nawet mleka i miodu, a może i groszy nie brakło.

Jakiż więc niepokój wstrząsał w ten piękny wieczór letni mieszkańcami tej wioski? O czem gromada bab, przed jednym z najdostatniej wyglądających domostw zebrana, gwarzyła tak żywo, że aż dokoła niej zebrała się gromada dzieci starszych i młodszych. Dziewczynki od lat siedmiu do czternastu, w sinych spodniczkach i szarych koszulach, bose, z głowami ukrytemi w czerwonych chusteczkach, z pod których wymykały się kosmyki jasno-płowych włosów, stanęły pod płotem długim szeregiem i, splotłszy na spodniczkach małe, ciemne jak ziemia ręce, szeroko pootwierały oczy, napełnione wyrazem ciekawości, a w których błękitnych lub piwnych źrenicach, zachodzące słońce rozżarzało ruchome iskry. Przypatrywały się i przysłuchiwały się babom, a baby gadały, krzyczały. Chłopcy lat różnych stali za babami, nie tak przecież nieruchomo, jak dziewczęta. Bosi także, jasno-włosi, w szare płótno odziani, wcisnęli się oni pomiędzy matki, ciotki, podnosili ku twarzom kobiet twarze swe opalone, śmiałe i wesołe, które wykrzywiali w sposób najrozmaitszy, swawolnie przedrzeźniając gadatliwość i zażartość babską.

Na wązkim dziedzińcu chaty, pod którą tłoczyły się baby i dzieci, panował także gwar pewien, ale znacznie mniejszy, bo podnosiła go gromadka mężczyzn mniej i ciszej od niemiast mówiących. Jeden z nich, u wrót stajenki przyklęknąwszy, siekierą rozszczepiał kloc drzewa na drobne drewienka. Z pochyloną głową i zgiętemi plecami chłop ten, niemłody już i szczupły, ale jeszcze silny i czerstwy, był jednym z najzamożniejszyah i najroztropniejszych gospodarzy Suchej Doliny, właścicielem tej chaty, a zwał się Piotr Diurdzia. Tuż za nim stali dwaj synowie jego, młodzi. lecz już dorośli parobcy, dalej stryjeczny brat Piotra, ale wcale do niego niepodobny. Stefan, w wymowie chłopów Stefan Dziurdzia, przypatrywał się jego robocie z ponurym wyrazem na przedwcześnie zestarzałej i jakby spalonej twarzy; dalej jeszcze stał także Dziurdzia imieniem Szymon, mizernie i smutnie wyglądający, a za każdem odetchnięciem wydający z siebie mocny zapach wódki. Wódka to zapewne zaprawiła mu białka oczu krwistą barwą, wysysała i zażółciła policzki; ona też może była przyczyną, że miał podartą koszulę i stopy bose, gdy inni przyodziani byli w porządne samodziałowe kapoty i grube, ale dostatnie aż do kolan sięgające obuwie. Oprócz tych pięciu Dziurdziów, było tam jeszcze kilkunastu chłopów starszych i młodszych, którzy jednak wszyscy zdawali się być mocno zajętymi tem, co czynił Piotr Dziurdzia, spoglądali na siebie z uśmiechem na ustach i wyrazem żywej ciekawości w oczach, wzruszali czasem ramionami i rzucali pojedyńcze słowa lub wykrzyki. A przed wrotami dziedzińca baby gadały wciąż, krzyczały.

— Pietruk! hej Pietruk! skończysz ty kiedy, czy nie? — zawołała jedna. A to słońce zajdzie i psy, nie ludzie, po polach chodzić będą!

— Pora idźci (iść), dalibóg pora! — chórem powtórzyło kilka piekielnych kobiecych głosów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Straszny i wesoły sen w Warszawie.

Przez Wojciecha Wiącka.

(Dokończenie).

Na pierwszej stronie: „Od powietrza, głodu, moru, ognia i wojny, wybaw nas Panie“! Na drugiej stronie: „Od nagłej a niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie“! Na trzeciej stronie: „Od niewoli pruskiej, moskiewskiej i austryackiej zachowaj nas Panie“! Na czwartej stronie: „Od ciemnoty, pijaństwa i złości wybaw nas Panie“! Powtórzyłem tę modlitwę i idę. Zmrok coraz bardziej zapadał, mnie strach i dreszcze przejmowały, obejrzałem się i już miałem odejść pod drzewa, wtem zobaczyłem jakąś postać w białym płaszczu, idącą ku mnie. Usunąłem się z drogi. Czekam, postać się zbliżyła i zapytała słodkim, anielskim głosem: „Synu, coś za jeden i gdzie idziesz“? Opowiedziałem. Wysłuchała mię, pocieszyła, że mię przeprowadzi przez bór dziki, że wkrótce znajdę swobodne mieszkanie, gdzie mi będzie bardzo dobrze i bezpiecznie zanocować, a później zaprowadzi mię do szczęśliwego kraju, poleciła mi, abym jej słuchał i zawsze z nią szedł prostą drogą, nigdzie nie zchodził na boczne ścieżki i jej nie opuszczał. Najszczęśliwszy podziękowałem jej za pomoc i opiekę, ale podziękowań przyjąć nie chciała i powiedziała: „Kochaj mię, jako dobry syn matkę kocha, a będziesz szczęśliwym“. Idziemy coraz dalej w bór, coraz ciemniej się robi, nareszcie drogi nie widać, tylko niebo widać, pomiędzy ścianami drzewa około drogi. Całe niebo zaszło chmurami czarnemi, z daleka dały się słyszeć ciężkie grzmoty, a echo odbijało Po każdym grzmocie zawyły wilki, zaryczały niedźwiedzie, w głębi boru szczekały lisy i hukały sowy, pomimo, że nas szło dwoje, ja cały trząsłem się od strachu i tysiączne myśli biły mi do głowy. Wycia i ryki były głośniejsze co chwila, ale te głuszył grzmot od czasu do czasu tak, że się zdawało, że się cały bór trzęsie. Szliśmy tak ze trzy godziny, słuchamy, a ptak jakiś bardzo pięknie śpiewa, niby papuga coś gada niezrozumiale. Stanąłem, słucham; coraz głośniej, zbliżam się na brzeg drogi i słucham, osoba, z którą szedłem, trochę mię odeszła, ja tymczasem schodzę bliżej do ptaka, a tu wypadło do mnie czterech czarnych ludzi i nim zdołałem zawołać o ratunek, już leżałem na ziemi. Jeden wiąże mi powróz na szyi, drugi krępuje ręce, nogi, trzeci zdziera ubranie i tłumok, a czwarty największy zawiązał mi oczy. Z przerażenia straciłem przytomność. Nie wiedziałem, co się ze mną stało, i wtedy dopiero przyszedłem do przytomności, jak mię bić zaczęto. Zbity, zmęczony, już prawie bez życia czułem, że mię niesiono do jaskini ciemnej, z jaskini wlekli mię skalistym korytarzem przeszło sto kroków i wyprowadzono mię na świeże powietrze, tam mi oczy odwiązali, do drzewa mocno przywiązali, trzej odeszli, czwarty został, a był największy. Stojąc tak a nie wiedząc, co się ze mną stanie, odrętwiałem z bolu i strachu. Po niedługiej chwili zagrzmiało z trzech stron boru, zawyły zwierzęta, błysnęły błyskawice i pioruny bić zaczęły. Bór czarny zaszumiał, wicher powstał straszliwy, powstał łomot i trzask drzewa, grad, deszcz, wycie, wszystko to grało piekielnie. Ja w koszuli zziębnięty, związany, zbity, zraniony, skrwawiony stałem albo raczej prawie wisiałem przy drzewie. O północy usłyszałem ludzkie krzyki, lamenty. Patrzę zdziwiony, a tu z trzech stron boru wloką ludzi jakieś czarne upiory, upiory ubrane w czarne i różnokolorowe suknie i oznaki na piersiach, i tak jak mnie, wiążą, ustawiają ludzi odartych, zrozpaczonych. Przy każdym człowieku stoi taki upiór z łańcuchami, wiąże, bije i śmieje się, a coraz więcej tłumów gromadzą. Niektóre upiory miały blade czerwono-białe oznaki, chodzili wolni między tłumami i najwięcej dręczyli ludzi.

Jakie tam były krzyki, wycia, nie da się opowiedzieć. Gdy północ minęła, upiór mój odleciał, ale patrzyłem, rychło się znów zjawi, niebo cosaz bardziej jaśniało, więc widziałem coraz lepiej, co się działo. Ludzie silniejsi zaczęli się rzucać, niejeden zerwał łańcuch i mocował się z upiorem. Straszna to była noc, jakby sąd Boży. Noc ta zdawała mi się sto lat długą. W końcu odetchnąłem i pomyślałem: Och, gdyby ta dobra i piękna istota, która mię prostą drogą prowadziła, teraz zobaczyła tak nieszczęśliwego, możeby mi dała jaką pociechę i ulgę, możeby mnie uwolniła od tego nieszczęścia, wszak przyrzekłem jej, że ją nie odstąpię, a złamałem słowo, więc zostałem ukarany.

Nie wiem, jak długo tak marzyłem, gdy naraz uczułem, że mię ktoś odwiązuje od drzewa. I usłyszałem głos za sobą: „Kiedyś o mnie nie zapomniał, żałujesz i tak mię chcesz kochać, jak przyrzekłeś, uwalniam Cię z tej niedoli, uchodź czem prędzej do swoich, do swego kraju, a pamiętaj, idź zawsze pro-

stą drogą wiary, poczciwości naszego narodu, nie zbaczaj nigdy z tej drogi cnoty, nie słuchaj fałszywych śpiewów i obietnic. Szukałam Cię, aby cię uszczęśliwić, idź więc do swej chaty i roli, pracuj dla sióstr i braci, a nie szukaj szczęścia i nauki w obcych krajach, nie pragnij poznać życia podłych ludzi, którzy żyją rabunkiem poczciwych. Ja jako kocham ten lud nieszczęśliwy, wyrywam go jak mogę z niedoli, a ci co mnie poznają i usłuchają, są szczęśliwymi zawsze i nie potrzebują znosić niedoli".

Rozpłakałem się serdecznie, upadłem na kolana, przyrzekłem poprawę i podziękowałem za uwolnienie. Będąc wolny, czułem żal nad tymi, co cierpieli od upiorów, prosiłem gorąco tę kobietę, aby tak jak mnie, wszystkich uwolniła z niewoli, żeby wszyscy zaraz uczuli się szczęśliwymi...

Powiedziała mi, że co może, to robi, aby ludzi uwolnić prędko i wszystkich, ale że jeszcze ciemno, więc nie może trafić do ludzi. Skoro lepiej się rozwidni a jutrzenka wzejdzie, zorze zajaśnieją, to i ludzie się poznają i będą jedni drugich rozwięzywać, upiory odpędzać, zresztą same upiory, to duchy ciemności, nie lubiące światłości, sami pouciekają w bór i jaskinię, a przepaść...

Powiedziała mi, że gdy słońce wzejdzie, oświeci i rozgrzeje ludzi i ziemię, to wtenczas będą wszyscy wolni, szczęśliwi i dobrzy, ale dopóki jest jeszcze ciemno, a ludzie źli, to źli sami siebie karzą i cierpieć muszą...

Więc podziękowałem czcigodnej kobiecie, pożegnałem ją i zaraz uciekłem z tego boru. Przyszedłem do wsi najbliższej. Tam spocząłem czas dłuższy, wygoiłem rany, wróciłem do swej rodzinnej ziemi, do swego kraju, do swej wioski i chaty kochanej. Przez drogę opowiadałem ludziom, com widział, com cierpiał i jak inni cierpią. Każdy westchnął obojętnie i na tem koniec.

W tej chwili usłyszałem głos dzwonów, wzywających na nabożeństwo, zerwałem się z łóżka, ale byłem bardzo umęczonym tak strasznym snem....

Po śniadaniu poszedłem do kościoła. Ludu było tak pełno, że kościół nie pomieścił, stali na ulicy. Zostałem w Warszawie przez dwa dni jeszcze, zwiedziłem co mogłem, o czemby było dużo pisać. Na trzeci dzień odjechałem koleją do Częstochowy, zwiedziłem klasztor na Jasnej Górze, obraz cudowny, mury obronne, których ks. Kordecki niegdyś Szwedom nie dał zdobyć. W klasztorze doznałem pociechy wewnętrznej, bom się wyspowiadał i przyrzekł, że dopóki życia będę pracował, abym coraz więcej kochał ojczyznę i żył dla niej. Jestem pewny siebie, że doczekam tej chwili oswobodzenia Polski, w to wierzę, tak jak w nieśmiertelność swoją, wierzę też, że dopóki Królowa korony Polskiej będzie w sercach Polaków, dopóty i Polska nie zginie...

Czwarty rok przechodzi, jak miałem wypadek z tym snem w Warszawie. Sen ten powyżej opisany zawsze mam na myśli, a sądzę, że ta czcigodna kobieta, która mnie i drugich oswobodziła, to oświata, bez której na nicbyśmy przepadli w złem trwając.

Machów 1 października 1902.



Katechizm polskiego dziecka.

Kto ty jesteś?
— Polak mały.
Jaki znak Twój?
— Orzeł biały.
Gdzie ty mieszkasz?
— Między swemi.
W jakim kraju?
— W polskiej ziemi.
Czem ta ziemia?
— Mą Ojczyzną.
Czem zdobyta?
— Krwią i blizną.
Czy ją kochasz?
— Kocham szczerze.
A w co wierzysz?
— W Polskę wierzę.
Coś ty dla niej?
— Wdzięczne dziecię.
Coś jej winien?
— Oddać życie!

Wład. Bełza.



POLSKI LUD.

Napisał

PIOTR Z KRAKOWA.

Sto trzydzieści lat upłynie w tym roku, od pierwszego rozbioru Polski i przez tyle lat walczymy z wrogami naszymi o nasze ideały. Co lat kilkadziesiąt nowi obrońcy chwytali za miecz, chcąc nim rozciąć pęta niewoli, lecz polegli; lecz nie przyszła jeszcze godzina zmartwychwstania. Bóg tak chce, abyśmy cierpieli, a przez to nauczyli się, jak potem szanować wolność Ojczyzny.

Nie mamy już Ojczyzny, nie mamy króla, ani wodzów, ani hetmanów, ani wojska naszego narodowego. Ojczyzna na krzyżu cierpień i niedoli ukrzyżowana, spogląda łzawem okiem na nas. Orzeł biały już nie buja swobodnie jak przed 130 laty.

Wrogowie mówią: „Nie ma Ojczyzny waszej, tu Prusacy mieszkają, tu znowu Moskale“, a gdzież nasza Polska? Niema żadnej Polski; wy jesteście niewolnikami naszymi! Wam wolno mówić tylko po niemiecku. A dalej Moskal po ukazie, po moskiewsku mówić każe; cóż my biedni mamy czynić, gdzie się udać, gdzie znajdziem sprawiedliwość?!

Ale patrzmy; ci wrogowie, co chcą, byśmy mówili po niemiecku i po rosyjsku, coś się niepokoją, coś widzą u nas, bo się liczą z nami, oniby nas chcieli wygubić i zniszczyć, abyśmy nie istnieli, ale nie mają na to środków. Już wszystko, co tylko piekło wymyślić może, wymyślili; wszystko to na nic, bo my żyjemy, mówimy po polsku i nie dajemy się zniszczyć.

Oni myśleli, że z chwilą wymazania Ojczyzny naszej z mapy i rozdzielenia jej słupami granicznymi, już wszystko przepadnie, że wróg nas pochłonie, że po 100 latach niewoli, my się staniem Niemcami i Moskalami. Tego nie doczekają. Dlaczego? Bo pozostał „Polski Lud“!

Ten Lud ochrzczony krwawym chrztem pod Racławicami, ten lud, który w dziejach porozbiorowych wydał tylu bohaterów i obrońców Ojczyzny, ten lud żyje, miłuje Ojczyznę i tem przeszkadza wrogom do naszego zniszczenia. Patrzmy się na ten lud pod Moskalem zamieszkały: Kto broni wiary, kto broni kościołów przed najazdem kozaków, kto leży zamordowany, pokrwawiony, nahajkami pobity przed kościołami w obronie ziemi, wiary i języka polskiego? „Polski Lud!“ Patrzmy na braci zamieszkałych pod Prusakiem: Kto broni tam wiary świętej, mowy ojczystej, kto poświęca swe dzieci nawet w obronie tychże? „Polski Lud“! Kto trzyma ziemię i nie chce jej sprzedawać niemieckim kolonistom? „Polski Lud“!

Cierpi; modlić się mu nie wolno, bo niema kościoła katolickiego, tylko szyzmatycka cerkiew, nie bierze ślubów, nie chrzci, bo nie wierzy w chrzest udzielony przez popa; nie chce chwalić Pana Boga w niemieckim języku, bo on go nie rozumie, nie chce posyłać dziedzi do szkół gdzie chcą z nich zrobić Niemców i Moskali, bo on chce przysporzyć swej Ojczyźnie dobrych obywateli gorących miłośników wiary i wolności narodowej.

Ten lud polski wie co to Ojczyzna i wolność, on pamięta, że w tej Polsce inaczej było za Piastów, co z krwi polskiego ludu wyrośli na dzielnych obrońców, jak król Kazimierz Wielki, królem chłopków zwany, przyciskał ich do swego serca, jak im rękę spracowaną od pługa w swej królewskiej ściskał dłoni, jak im sprawiedliwość czynił, gdy ich widział pokrzywdzonych. Pamiętają nietylko dawnych swych królów polskich, co to miłowali całem sercem Polski Lud; jak Tadeusza Kościuszkę, co to z kosą w ręku i kobiałką przez ramię, kazał iść na moskiewskie armaty, a ich bohater ludowy, Bartosz Głowacki, co za dzielną obronę Ojczyzny szlachcicem został.

Polski Lud dojrzał po tylu latach niewoli i dziś nie opuszcza żadnej uroczystości narodowej, we wszystkich udział bierze i to licznie występuje, abyśmy go lepiej poznali i ukochali.

Wszystkie uroczystości w Krakowie odbyte, jak pogrzeb Mickiewicza, Lenartowicza, Asnyka, obchód Konstytucyi 3 Maja 1891 roku, obchód grunwaldzki uczcił nasz ukochany Polski Lud.

A gdy Lud Polski, przez nas ukochany, wiernie wytrwa w obecnej podstawie i stawiać będzie dalej wrogim zakusom Niemców i Moskali zaporę i przyczyni się swoją wytrwałością do skrócenia naszej niewoli, wtedy, gdy kiedyś staniem u bram wolności naszej, wtedy na czele naszym stanie Polski Lud, a Ojczyzna zmartwychwstała z grobu powita go okrzykiem:

„Ludu Polski“! — dzielny mój obrońco, bądź błogosławiony“!



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.